

Piotr Millati

DONOS NA CZWORONOGA

To, co tu czytacie, mimo wszystko nie jest pospolitym donosem na mego psa, gdzie wykorzystując jedną z nielicznych nad nim przewag, „obsmarowuję” go za plecami. Mam jeszcze jako takie poczucie rzeczywistości i zdaję sobie sprawę, że ujawniając wstydlive szczegóły naszego życia, kompromituję przede wszystkim siebie. Piszę to wszystko, aby dać sobie odpowiedź na dręczące mnie od dawna pytania: jaki błąd popełniłem?, gdzie leży moja wina?, czy można było inaczej? Może robię to także, by przestrzec innych przed pójściem w moje ślady.

Byłbym jednak hipokrytą, gdybym pozostawił was w przekonaniu, że publikując w piśmie o ogólnopolskim zasięgu ten (chyba jednak) paszkwil, nie chcę się przy tej okazji „odgryźć” za wszystkie upokorzenia, które przynosi mi każdy kolejny dzień. Ludzkie motywacje są zawsze splątane. Niskie miesza się z wysokim, małostkowe ze szlachetnym. Lepiej więc, jeśli sam od razu ujawnię ten ich moralnie dwuznaczny splot, skoro i tak pewnie nie da się go ukryć przed okiem bystrego czytelnika.

■
Mój pies mnie lekceważy. Mówiąc dosadniej, ale nazywając rzecz po imieniu, ma mnie za nic. Nigdy nie było mi dane doświadczyć psiej wierności, bezgranicznego oddania czy choćby prostego posłuszeństwa. Niemal wszystkie moje życzenia, propozycje i sugestie były i są przez niego doskonale ignorowane. Udaje, że ich nie słyszy albo nie rozumie. Czasem puszcza je mimo uszu, jakby przekonany, że zwracam się do kogoś innego, choć jest dla niego oczywiste, że oprócz nas nie ma w mieszkaniu nikogo.

Kiedy ponawiam prośbę, nadając jej ton kategorycznego polecenia, z teatralną przesadą ziewa, po czym znudzony przeciąga grzbiet i prostuje przednie łapy, przyglądając się z udawanym zainteresowaniem rozcapierzonym pazurom. Może dałbym się zwieść temu cynicznemu aktorstwu, gdybym w jego brązowych ślepiach nie dostrzegął wówczas błysku złośliwej kpiny, a jego pyska nie wykrzywiałyby z trudem tłumiony grymas szyderstwa.

Zawsze zależało mi na otwartości w naszych relacjach. Dlatego wychodząc z mieszkania i nie mogąc go z sobą zabrać, uczciwie go informuję, że „zostaje”. Na dźwięk tego słowa, wydobywa się z jego gardła nienawistny bulgot. Jego modulacja za każdym razem jest trochę inna, jakkolwiek ogólny ton nie pozostawia wątpliwości, że oto chlusnął mi prosto w twarz brudny potok najbardziej ordynarnych psich bluzgów. Pospiesznie zamykam za sobą drzwi, by zatamować ten wylew.

Gdy po jakimś czasie wracam, na jego żywsze zainteresowanie mogą liczyć jedynie siatki z przyniesionymi zakupami. Jeśli jednak moje ręce są puste, pies nawet nie podniesie się z legowiska. Muszę się wówczas zadowolić lekkim uniesieniem krzaczastych brwi, co jednak można równie dobrze odczytać jako wyraz przykrego zdumienia: „Co? Już? Tak szybko?”.

Chciałbym się pocieszać, że on już po prostu „tak ma”, że trafił mi się gburowaty introwertyk, że zwyczajnie miałem pecha, ale to niemożliwe. Moi goście są przez niego witani z nieopisaną euforią, niczym wojska aliantów wkraczające na wyzwalaną od nazistów Sycylię. Nie ma końca histerycznym piskom, szaleńczym podskokom, wciąż ponawianym próbom wdrapania się na kolana.

Pod wieloma względami przypomina kota. Nie dziwi mnie to wcale, gdyż od pewnego czasu znam coraz więcej kotów mających wyraźnie psie usposobienie. To niewątpliwie *signum tempum*. Podobny transfer pomiędzy wcześniej rygorystycznie przeciwstawianymi sobie rzeczywistościami dokonuje się dziś również w świecie ludzi. Odkąd współczesna obyczajowość niemal zasypała fosę dzielącą męskość od kobiecości, nagle pojawiło się mnóstwo niewyobrażalnych wcześniej krzyżówek. Pogardliwe powiedzenie „baba za kierownicą” już dawno straciło swój sens. Wielokrotnie się o tym przekonałem, wyprzedzając tamującego ruch „ostrożnego” kierowcę, który okazywał się mężczyzną o przerażonej rozwiniętej „prędkości” twarzy. Najwidoczniej zmiany, które dokonują się w naszym świecie, udzielają się również najbardziej udomowionym zwierzętom. Tutaj dopiero widać, w jakim stopniu zostały one uczłowieczone.

Wracając jednak do mojego psa – jego niesubordynacja zaczęła się od tego, że nie chciał wyrosnąć na czarnego labradora. A przecież został kupiony jako pies tej właśnie szlachetnej rasy. Tymczasem, niewątpliwie mi na



■ Wszelkie podobieństwo do osobnika opisanego w tekście obok jest nieprzypadkowe, fot. Piotr Millati

złość, obrósł sztywną jak drut, splatającą się w trudne do rozczesania strąki, sierścią. Krótki, kształtny pysk szybko przeobraził się w spiczastą kufę, która zarosła typową dla terierowatych niechlujną brodą przypominającą sfatygowaną szczotkę. Ma ona tę cudowną elektrostatyczną właściwość, że przyczeplają się do niej wszystkie śmieci ulicy.

Ostatnie nadzieje na jego, przynajmniej po części, szlachetne pochodzenie wiązałem z ogonem. Był gruby i leżał nisko, nadając sylwetce szyk i odpowiednią prezentację. „To nie może być zwykły kundel” – zapewniałem przyjaciół, wskazując na nadzwyczajne walory ogona. Jednak ku mojej rozpaczy z miesiąca na miesiąc coraz wyraźniej wyginał się on w łuk, by w końcu zawiąć się w niemal regularny „rogalik” obrośnięty pióropuszem rzadkich kłaków.

W okolicach swoich pierwszych urodzin pies przybrał postać finalną. Nadal jednak czepiałem się rozpaczliwie nadziei, że to jeszcze nie ostatnie słowo w jego osobniczym rozwoju. No cóż, „rodzice” do końca pozostają ślepi na niewygodną prawdę o swych pociechach. Smutna historia balzakowskiego ojca Goriot albo szekspirowskiego króla Leara powinna dla nich wszystkich stanowić podręcznikowe *memento*. W takich sytuacjach nieoceniona bywa bezwzględność sądu osoby postronnej.

– Hiena – zawyrokował weterynarz, gdy przyprowadziłem psa na szczepienie. – Skąd pan wziął coś takiego?

– Z ogłoszenia – bąknąłem, wbijając wzrok w posadzkę.

– Pozwoli pan, że pokażę to koleżankom z ambulatorium? Nieczęsto możemy oglądać podobne przypadki.

Gdy spostrzegł moje wahanie, zmieszał się i szybko dodał:

– W celach naukowych, ma się rozumieć...

– No, jeśli tak, to proszę...

Chwilę potem wokół nas zgromadziło się kilkuosobowe konsylium składające się z młodych kobiet w seledynowych fartuchach.

– To miał być labrador – oświadczył weterynarz, usiłując nadać głosowi neutralne brzmienie.

Wybuch kobiecego śmiechu eksplodował jak ręczny granat, wywołując drżenie szyb w witrynkach z lekami i strzykawkami. Ja i mój pies zostaliśmy sparaliżowani siłą jego rażenia.

Tego dnia ostatecznie pozbyłem się złudzeń. Broniona przeze mnie z uporem hipoteza, że jeśli nawet nie ojciec albo matka, to przynajmniej dziadek lub babcia była prawdziwym labradorem (bo przecież „nie mogli mnie aż tak oszukać!”), rozpadła się jak domek z kart, zdmuchnięta wymową niezbitych faktów.

Jeśli jednak szlachectwo urodzenia okazało się sprawą ostatecznie przegraną, ciągle jeszcze mogłem walczyć o szlachectwo jego ducha. Wyobrażałem sobie, że osiągnę to poprzez staranne, nacechowane mądrością wychowanie. Dlaczego mieszaniec (tym zgrabnym eufemizmem będę się odtąd posługiwał) nie miałby wyrosnąć na psa z klasą?

Pracowałem już zresztą nad tym od dłuższego czasu. Moją wyrocznią stał się, uosabiający najnowsze trendy, amerykański podręcznik *Pozytywne szkolenie psów*. Lansowana przez jego autorkę „niezawodna” oraz „naukowo potwierdzona” metoda wychowawcza opierała się na całkowitej rezygnacji z tradycyjnych kar. Właściciel psa powinien raz na zawsze wyrzec się pragnienia, by uczynić go swym sługą lub niewolnikiem. Przemoc, w jakiegokolwiek postaci, zawsze przynosi rezultaty przeciwne od oczekiwanych. Nigdy więc nie powinniśmy się nią posługiwać. Dążenie do dominacji to prymitywna maska naszej słabości, którą zwierzę nieomylnie wyczuje. Każdy pies – jak zapewniała autorka – jest wspaniałą, rozumną istotą, z którą możemy dojść do opartego na obopólnym szacunku porozumienia, jeśli tylko opanujemy właściwy sposób komunikowania mu swoich oczekiwań.

Podręcznik dopuszczał w zasadzie jedną tylko formę wywierania presji. Chodziło o to, by zasugerować – nierozumiejącemu dobrze naszych intencji, ale pełnemu dobrej woli – zwierzęciu, że nie jesteśmy ukontentowani jego zachowaniem. Robi się to w stosunkowo prosty sposób – oddalając się (na przykład do sąsiedniego pokoju) w wymownym milczeniu zaraz po tym, jak nie posłucha rozkazu albo zwyczajnie coś przeskrobie. Ostentacyjna odmowa kontaktu miałaby być dla psa czymś dotkliwie przykrym. Tak przykrym, że da mu to do myślenia, skłaniając do oczekiwanych przez nas postaw i zachowań.

Przyznam, że od razu urzekła mnie ta piękna wizja. Obiecywała wprowadzić do moich codziennych relacji z psem elegancję arystokratycznych manier, co było wystarczająco satysfakcjonującą rekompensatą za jego mało arystokratyczną prezencję.

A jednak również w kwestii wychowania poniosłem porażkę na całej linii. Dzisiaj żałuję, że tak bezkrytycznie zawierzyłem niesprawdzonemu w środkowoeuropejskich realiach zaoceanicznemu autorytetowi, tracąc w oczach psa swój własny. Może zbyt prostodusznie odczytałem zasadnicze przesłanie podręcznika, a może w świecie Zachodu poziom elementarnej kultury osobistej psów jest wyższy niż u nas i podobne metody tam się lepiej sprawdzają? Mam podejrzenie, że gruboskórność, cwaniactwo i bezczelność występują u naszych zwierząt domowych częściej niż u tych żyjących na zachód od Łaby. Wynika to z tego, że tworzymy z nimi szczelny system naczyń połączonych. Nasza obyczajowa przeciętna natychmiast znajduje lustrzane odbicie w tym, co dzieje się u psów i kotów.

Kończąc ten ryzykowny intelektualnie wątek, powiem tylko, że mój mieszaniec okazał się całkowicie impregnowany na amerykańskie subtelności. Jedyne, co pozostało po tej mechanicznej próbie transplantacji wzorców z innego kręgu kulturowego, to piorunujące spojrzenie, jakim we mnie mierzy znad świeżo napełnionej miski. Nie spuszcza ze mnie wzroku, dopóki się nie wycofam na odpowiednią odległość – czyli do pokoju obok. Dopiero wówczas zabiera się za jedzenie.

Gdybym miał wskazać na najbliższy sercu mojego psa system wartości czy światopogląd, byłby to radykalny konserwatyzm spod znaku Janusza Korwina-Mikkego. Niewątpliwie musi mu być bliska idea społeczeństwa opartego na niezmiennym porządku i wyraźnej hierarchii, w którym ja pełnię wyznaczoną przez tradycję funkcję dostarczyciela żarcia. Nienawidzi wszystkiego, co słabe lub odbiega od normy, a więc żebraków, bezdomnych, pijaków, wyrzutków, kalek oraz obcych i kolorowych, wściekle ich obszczekuje, jeśli tylko nadarzy się okazja. Zmiana i odstępstwo od utartych schematów wywołują w nim niepokój lub irytację. Cieszy go natomiast, gdy sprawy tego świata toczą się dobrze mu znanym, przewidywalnym torem. Proste, powtarzalne czynności bardzo szybko zamieniają się w uświęcony rytuał, którego należy przestrzegać w najdrobniejszych szczegółach. A więc: spacer ma się odbyć o określonej godzinie i biec po tej samej co zawsze trasie; natychmiast po wyjściu z mieszkania muszę wydać końcówkę smyczy, która będzie gryziona i kręceniem piruetów owijana wokół szyi; po powrocie – trzy kwadransy leżakowania na kanapie zawsze po jej lewej stronie (koniecznie poduszka w kwiatki); na podwieczorek wędzony łosoś – ale tylko z Ustki (sporo czasu zajmuje mi poszukiwanie dostaw); późnym popołudniem – grzanie grzbietu przy kominku (trzeba rozpałić bez względu na temperaturę); po kolacji – drapanie za uszami (nie muszę chyba dodawać, że to ja drapię)... Mógłbym wyliczać tak w nieskończoność. Ta rozbudowana jak na dworze cesarza Abisynii „etykieta”, regulująca porządek dnia, któremu nie wolno w niczym uchybić, piekielnie komplikuje mi życie.

Podejrzewam go także o kryptoklerykalizm, choć nie wykluczam, że w tym wypadku zapędzam się za daleko. Przyszło mi to do głowy podczas tegorocznej kolędy. Otóż, gdy ksiądz uroczyście wkroczył do mieszkania i zaintonował gromkim głosem *Dzisiaj w Betlejem*, pies jak automat przysiadł na zadzie i wszedł z nim w operetkowy duet, wyjąc do sufitowej lampy. Przyjrzałem się im obu i wówczas jak grom uderzyło mnie podobieństwo jego umaszczenia do stroju osoby duchownej – czarne futro oraz biała „krawat” w miejscu koloratki! To odkrycie do dziś nie daje mi spokoju. Od tej pory bardziej niż kiedyś uważam na czyny i rozmowy.

Zawsze irytowało mnie jego naiwne i powierzchowne podejście do spraw naprawdę ważnych. Nie ma na przykład zielonego pojęcia, czym są pieniądze! Wciąż łamię sobie głowę, jak mógłbym naświetlić mu wagę tego za-

gadnienia. Kiedy przygląda się mi podczas robienia zakupów, musi odnosić wrażenie, że żyjemy w raj. Bo przecież wystarczy podejść do półki i wziąć to, na co ma się akurat ochotę. Sprzedawcy w jego oczach to przesympatyczne osoby, których zadaniem jest zaspokoić każdą naszą zachciankę. W tym niedorzecznym przekonaniu utwierdza go niestety pewna ekspedientka z rzeźnika na rogu. Gdy tylko się pojawia, podrzuca mu pocięte w plasterki parówki i pasztetową.

Nie rozumie też wielu innych realiów ludzkiego życia albo pojmuję je zupełnie na opak. Nie zauważyłem jednak, aby się tym szczególnie przejmował. Co na przykład roi mu się we łbie, gdy wkładam buty, kiedy się gołę, gdy odkurzam mieszkanie albo pompuję rowerową dętkę? W jego psiej rzeczywistości nie ma niczego, co pozwoliłoby pojąć sens tych czynności. A jednak odnosi się do nich ze spokojem, bez cienia zdziwienia, jakby były dla niego czymś oczywistym. Natychmiast zamieniają się one w jakiś psi sens. Otrzymują nowe, czytelne dla niego znaczenie.

Być może my także w taki sam sposób patrzymy na otaczający nas świat? Na co dzień mało co nas dziwi. Niemal wszystko wydaje się zrozumiałe, pospolite i bezproblemowe. Tymczasem niewykluczone, że właściwy sens tego wszystkiego pozostanie przed nami na zawsze zakryty.

Kiedy czegoś ode mnie chce, siada przede mną na zadzie i patrzy mi z uporem w oczy. „Przyszła koza do woza!” – myślę sobie nie bez niskiej satysfakcji i jak zawsze w takim przypadku zaklinam się, że tym razem będę mężczyzną, okażę charakter, uniosę się osobistą godnością, odegram za wszystko, co mnie z jego strony spotyka. Teraz to ja zgrywam głupka. Udaję, że go nie widzę. Jak gdyby nigdy nic oglądam telewizję, jem obiad lub czytam gazetę. Pies się tym jednak nie zraża. Zaczyna miarowo uderzać ogonem w podłogę. To bicie, które nie ustaje nawet na chwilę, w końcu jednak zaczyna mnie deprymować. Nie jestem w stanie skupić się na niczym innym. W końcu kapituluję. Postanowienie, w którego dotrzymanie jeszcze przed chwilą szczerze wierzyłem, rozwiewa się jak dym. Pies tylko czekał na ten moment i teraz wwierca się w mój wzrok swym wyteżonym stanowczością spojrzeniem. Nie pozostaje mi nic innego, jak spełnić jego wolę. Nie jest to jednak takie proste. Sam muszę odgadnąć, o co chodzi. W tym celu odgrywam przed nim szereg rutynowych scenek tak długo, aż w końcu trafię na tę właściwą. Uchylam więc drzwi, by sprawdzić, czy nie ma ochoty na spacer, dosypuję do miski karmę, zaglądam pod szafę, czy nie wpadła tam zabawka, której nie jest w stanie dosięgnąć łapą, delikatnie drapię go za uszami, otwieram okno balkonowe – na wypadek, gdyby chciał sprawdzić, co się dzieje na ulicy – odbijam od ściany kauczukową piłeczkę, przesuwam się na drugi koniec kanapy, by zrobić mu miejsce...

Czasami życzenie udaje mi się odgadnąć dość szybko, innym razem ciągnie się to w nieskończoność. Wówczas pies ignoruje wszystkie moje starania i bicie ogonem w podłogę wzmaga się, jakby chciał mnie zachęcić do mobi-

lizacji myślowego wysiłku. Zdarza się, że kilkakrotnie przebiegniemy w ten sposób przez cały znany mi katalog psych potrzeb. Wreszcie zniechęcony rozkładam bezradnie ręce: „no słucham, czego właściwie chcesz?”. Jego skupione spojrzenie jest teraz pełne dobrej woli i wiary w moją domyślność. Ogon uderza rzadziej, ale jakby bardziej dobitnie, tak jakby chciał mi w ten sposób pomóc zebrać myśli, nakierować na właściwy trop: „No skup się... Tym razem dasz radę... Pomyśl jeszcze trochę...”. Czuję, że zderzam się tutaj z jakąś psią tajemnicą, z jakimś wymiarem psiego życia, który mi całkowicie umyka. To samo ograniczenie umysłu, które nie pozwala psu rozumieć właściwego sensu ludzkich zachowań, teraz staje się moim udziałem. Wiem, że tego muru swą ludzką głową nie przebiję.

Trzymajmy się jednak głównego tematu. Przypomnę, że chodzi o ustalenie przyczyn, z powodu których stałem się dla swego psa zerem. Trudno się dziwić, że od niego uciekam. Pokusa dygresji w dyletancki psychologizm z donosicielstwem w tle wciąż bierze we mnie górę nad bezinteresownym dążeniem do poznania bolesnej prawdy.

Muszę w tym miejscu poruszyć sprawę spacerów. Dużo wody upłynęło, zanim zrozumiałem, jaką właściwie rolę pełnię podczas ich trwania. Jak pewnie się domyślacie, nie jest ona szczególnie zaszczytna.

Pozwoliłem psu na niemal zupełną swobodę w kierowaniu się węchem. W końcu to jego święte prawo, realizacja podstawowej, głęboko zakorzonionej w psiej naturze potrzeby. Zabronić tego to tak, jakby zabrać dziecko do kina, zawiązując mu na oczach czarną opaskę.

W rezultacie przynajmniej trzy razy dziennie współuczestniczę w „sprawdzeniu poczty”, czyli obchodzie po dziesiątkach skrzynek kontaktowych, gdzie psy zostawiają istotne dla siebie wiadomości. Każde z tych miejsc musi zostać starannie obwąchane, tak by nie umknął najmniejszy niuans depeszy, po czym mój pies udziela odpowiedzi albo też jej nie udziela, w zależności od chęci podtrzymania kontaktu. Najczęściej są to krótkie „lajki” wymagające zaledwie sekundowego przykucnięcia. W przypadkach szczególnie intrygujących sprawa trwa dłużej. Pies zadziera wówczas tylną łapę i „pisze”. Na jego pysku maluje się wówczas wytężony namysł. Podejrzewam, że treść tych „listów” sprowadza się ostatecznie do kilku wciąż powracających wariantów: „Tu byłam – Diana”, „Podobasz mi się, przyjdź pod słupek jutro wieczorem, bądź sama! – Zoran”, „Jeśli jeszcze raz oznaczysz hydrant, wygryzę ci pół tyłka! – Rex”. Jednak tego rodzaju „wymiana korespondencji” jest rozrywką, której mojemu psu nigdy dosyć. Idę wówczas trzy kroki za nim, cierpliwie czekając na załatwienie każdej z tych niecierpiących zwłoki spraw, aż na zwyczajowej trasie spaceru wykonamy pełną pętlę.

Jedno jest pewne – to nie ja go wyprowadzam. Ja mu zaledwie towarzyszę. A tak naprawdę to jestem jego eskortą, jego osobistym ochroniarzem,

który samą swą obecnością odstrasza różne psie szumowiny szukające tylko okazji do bijatyki lub przygodnego seksu. W razie potrzeby może liczyć na moją zdecydowaną interwencję. Wówczas, z narażeniem własnej skóry, wygrażam napastnikowi kijem lub kamieniem. Gdy to nie pomaga, mój pies, który jest bezwstydnym tchórzem, po prostu wskakuje mi na ręce. Te niebezpieczne dla mnie usługi traktuje jako coś oczywistego. W jego przekonaniu jest to moim niepodlegającym dyskusji człowieczym obowiązkiem (w starych, dobrych czasach istniało pojęcie „psiego obowiązku”). Pewnie dlatego nigdy nie dostrzegłem w nim nawet cienia wdzięczności po którejś z takich akcji.

Powoli dochodzimy do sedna sprawy.

Jestem przekonany, że ani błędy wychowawcze, ani przyjęcie na siebie bez szemrania roli psiego kamerdynera i wykidajły w jednej osobie, nie zachwiałyby moją pozycją, gdyby moje życie zawodowe budziło jego podziw i szacunek. Nie oszukujmy się – to ono jest dla większości z nas najważniejszym parametrem w ocenie sukcesu bądź życiowej porażki. Na tym polu nie imponuję mu niczym, podobnie zresztą jak i sporej części swoich rodaków. Na co dzień pies widzi mnie pochylonego nad wyjątkowo zapachowo nieatrakcyjnymi prostokątnymi przedmiotami, różnej wielkości i wagi, zrobionymi z papieru, odrobiny kleju oraz drukarskiej farby.

Czas płynie w żółtym tempie, godzina mija za godziną i absolutnie nie dzieje się nic. Martwą ciszę przerywa jedynie suchy szelest przierzucanej strony, która nie różni się niczym od poprzedniej.

Wpatrywanie się (a właściwie wwąchiwanie) całymi dniami w coś tak beznadziejnego musi być odbierane jako przygnębiające marnotrawienie czasu, a w dalszej perspektywie także i życia. Utwierdza go to w przekonaniu, że ja po prostu nic nie robię, co gorsza – że pewnie jestem bezrobotny. A to przecież jeden z ostatnich kręgów piekieł w kraju, w którym żyjemy.

Czasami zaczerpnę długopisem śnieżnobiałe kartki, co nie czyni ich jednak wiele bardziej interesującymi. Innym razem, siedząc przy biurku nieruchomo jak posąg, naciskam poruszeniami samych palców klawisze komputerowej klawiatury, ale ta, nadzwyczajna jak na mnie aktywność, przedrzeźniania jest ironicznym drganiem białej końcówki ogona.

Znajdując upodobanie w tego rodzaju zapachach i czynnościach, muszę być w jego ocenie typem wybitnie nieciekawym, pozbawionym krztyny wyobraźni i temperamentu. Ponurym indywiduum wyjałowionym z pragnień i namiętności. Mizantropem o osobowości szarej i odpychającej jak zalegający w zwalach pod kanapą kurz.

Z pyskiem wciśniętym między łapy przygląda mi się z narastającym krytycyzmem. Jest w tej dezaprobacie duchowym dziedzicem wielowiekowej sarmacko-chłopskiej tradycji – tradycji pogardy dla książki i pisma.

Przez otwarte okno wpadają odgłosy zewnętrznego świata – strzępy rozmów, psie ujadanie, szum poruszanych wiatrem liści, nagły trzepot gołębic skrzydeł, metaliczne skrzeczenie sroki, syrena oddalającej się karetki pogotowia... Leżący na podłodze jaskrawy prostokąt słonecznego światła powoli zmienia się w wydłużony rąb. Wraz ze zmierzchem staje się arkuszem rozpalonej miedzianej blachy, która z wolna stygnie, blednie, by ostatecznie wsiąknąć w chłodne już deski podłogi. Życie jest gdzie indziej.

Na pysku psa maluje się na przemian znudzenie, apatia, nadzieja, bunt i znowu apatia, tym razem jednak głębsza o kilka tonów. Nic się już nie wydarzy, nic się już nie zmieni. Życie, jak w sztukach Czechowa, ostatecznie się nam wymyka, staje się czymś obcym, od nas niezależnym. Jest niczym rzeka tocząca się swym głębokim korytem do morza. Nie można jej zatrzymać, nie da się zmienić jej biegu. W ciszy wieczoru dopełnia się los. Niewyżyte istnienie nieodwracalnie zastyga w niechcianym kształcie.

Jego oczy zachodzą mgłą, powieki opadają pod swym ciężarem. Przez chwilę rozdziela je wąska, przekrwiona szczelina. Zdaje się być ostatnim aktem oporu przeciwko twardej władzy snu, który jest bliskim bratem śmierci.

Pies śpi. Nagle poduszki jego łap zaczynają się nieznacznie poruszać, jak gdyby były laskotane od spodu niewidzialnym piórkiem. Oddech jest coraz szybszy, coraz bardziej świszczący. Drżenie narasta i już po chwili całe ciało kurczy się i napina, wstrząsane serią nawracających spazmów. Klatka piersiowa skacze jak miech kowalski. I wtedy z gardła wydobywa się zdławiony jęk, który, gdy osiąga kulminację, zamienia się w kilka krótkich i rozpaczliwych szczeknięć. Brzmi to jak rozpaczliwa skarga, równie desperacka co bezsilna niezgoda na coś. Szybko podbiegam i kładę dłoń na rozedrganym kłębie. Pies rozwiera oczy. Patrzy na mnie półprzytomnie, nie rozumiejąc jeszcze, co się właściwie wydarzyło i po której stronie obecnie się znajduje. Mówię do niego spokojnym, kojącym głosem, powtarzając jak mantrę kilka tych samych zdań: „Już dobrze... To tylko sen... Nic się nie stało...”. Lekko unosi łeb. Rozgląda się po pokoju, po czym głowa znowu opada. Oddech się wyrównuje, oczy powoli przymykają. Moja ręka służy teraz jako poduszka. Po upływie minuty rozlega się regularne chrapanie. Staram się wytrwać bez ruchu tak długo, jak to możliwe. Bez wątpienia jestem mu to winny.

